

MARCIN CZERKASOW

PRZEDE WSZYSTKIM ZNISZCZENIA

PRZEDE WSZYSTKIM ZNISZCZENIA

PRZEDE WSZYSTKIM ZNISZCZENIA

REDAKCJA I KOREKTA: Karol Francuzik
TYPOGRAFIA, SKŁAD I OPRAWA: Marcin Czerkasow
DRUK: Studio Arizona / studioarizona.pl

disastrapublishing.com
vimeo.com/disastra
soundcloud.com/disastrapublishing

ISBN 978-83-940678-0-9

COPYRIGHT © 2014 BY MARCIN CZERKASOW & DISASTRA

Zrealizowano przy pomocy środków budżetowych
Samorządu Województwa Wielkopolskiego.

SPIS TREŚCI

Podwójny nelson	7	Podczas burzy	35
Człowiek ze śmiejącą się blizną	8	Pocztówki z przyszłości	36
Nieprzeczytana wiadomość	9	Przypadek jest formą porządku	38
Niewidzialny interes	10	Kanada cuchnąca benzyną	40
Życie jako gałąź przemysłu	12	Wczesne wydanie	41
Na rzecz sztormów	13	Białe budynki	42
<i>Expect A Big Move Here, Asparagus</i>	14	Roger Wilco	43
Czym jest poezja	15	System to zbyt wiele	45
Dalsze ilustracje	16	Świat rozpatrywany jako pole minowe	47
Sukienka Möbiusa	17	Fragment muru	49
Burzliwe roz pogodzenia	19	Coś w ciemności	50
Mężczyzna biorący prysznic w hotelu	20	Halifax	52
Nowa kolonia	22	Detrytus	54
Jasne, że mieliśmy noże	23	Piosenka	55
Potwory i nowe budynki	25	Nieznane przyjemności	56
Teoria ruiny	27	Przeznaczenie	57
Nocny personel	29	Przyjemny rodzaj zmęczenia	58
W dobrych latach zawsze czekamy na lepsze	31	W odniesieniu do tonącego okrętu	59
Coś było w tej wodzie	32	Przed wszystkim zniszczenia	60
Czerwone drzwi	33	Detale rozmiarów życia	62
Nawiasem mówiąc	34		

Podwójny nelson

I

Codziennie jest jakiś problem, jednak
nie to jest problemem. Lawina zeszła w dół,
gniotąc miasteczko jak kartonowy model.

Rzeczy, na które nie mieliśmy ochoty,
znów domagają się czyjejś uwagi.
Możesz to ignorować jak pies

szczekający w głębi zaśnieżonego pola,
lecz jak długo? Prędzej czy później
dopadną cię stare egzorcyzmy i niepokój
zaleje horyzont kolejną warstwą fioletu.

II

Obecnie w świetle naszych staromodnych przekonań
ustawia się rzecz godna nowej uwagi: twoje włosy
wyjące do wtóru płonącej suszarki. To doświadczenie

jest równie ważne jak brak jakiegokolwiek innego:
„Właśnie dlatego zdecydowaliśmy się pana zatrudnić.
Będziemy w kontakcie. O każdej porze dnia i nocy

nawiązujemy łączność z naszymi ludźmi w terenie,
zasięgając istotnych informacji. Nie może pan zatem
spać spokojnie. A kiedy wieczorem jakiś cień

wynurzy się z oceanu i spadnie na ścianę hotelu
niczym wszechwiedząca plama, proszę pamiętać,
że również pracuje dla nas”.

Człowiek ze śmiejącą się blizną

Budynki ciemnieją na tle sierpniowego nieba.
Jego oczy rozrzucają wokół tajemnice.
Parę stron dalej – ukryty w cieniu czarno-białej ilustracji.
Nagle kredowobiała zorza wpada do miasta, aby się przywitać.
Jest dobrze wychowana, ładnie pachnie
i wraz z nią nadciąga upalny wystrój dnia.

Wszyscy czują się ekskluzywnie, a on,
szczególnie nakręcony, siedzi na werandzie,
wpatrując się w łódki zacumowane w błękitnej marinie:
„Dzień dobry słońce, dzień dobry domy z szarego kartonu,
i ty, porcie rozległy jak widokówka z planem miasta
i adresem nadawcy na odwrocie”.

„Jednak nie mam do tego serca” – pomyślał,
ssąc paprotkę. Więc chwilę później widzimy jego auto na wzgórzach,
pióropusz pyłu ginący w bladym słońcu,
człowiek o zagadkowych rysach.
Nowy rodzaj wiedzy ilustruje teraz dzień.
Pamięć o poprzednich zaczyna blednąć i zwijać się w sobie.

Znowu jest w mieście, z którego nie można uciec
w żaden sensowny sposób. Nagle widzimy,
jak wbiega w zdesperowany poranek
ubrany jedynie w szary uniform i żółte półbuty
z wyhaftowanym logo centrali rybnej.
Nikt nie wie, kim jest ani jakie są jego zamiary.

Nieprzeczytana wiadomość

Rozsądek wygwizdał nas po raz kolejny,
nie wiedząc dłużej czym jest, umysł
osiadł na mieliźnie, a wtedy – *ups* – pocałowałem
krzaki i złapałem gwiazdę za rękę
a ona na to: „wyluzuj, człowieku,
to nie średniowiecze – w końcu
epokę druku też mamy już za sobą i
takie wieści rozchodzą się jak z bicza”.
Przyjąłem to z pokorą godną lepszej sprawy,
ciągle zmęczony tarmosiłem twarz przez sen,
słyszac: „To czasopismo jest z '69 – Które? –
To, które trzymasz w ręku”. Zegarek
w mojej dłoni omal nie eksplodował.

Później miesiącami przeciągałem ten stan,
notując na marginesach cudzych książek,
i pojawiła się nowa masa chłodu i szarówek,
kiedy szpaler ptaków na gzymsie wyznaczył
horyzont, czyli miejsce, w którym niebo
schodzi pod ziemię, a ja wraz z nim –
między wyniszczające gitary:
„Ten język przemawia za nich samych,
dlatego nie muszą robić nic więcej lub
tak im się przynajmniej zdaje”.
Późniejsze doniesienia dotyczą jakichś
konkretnych ekscesów. Być może tam byłem,
kto wie. Wszystkie zdjęcia są niewyraźne.

Niewidzialny interes

Wygodny salon, dwa fotele, jasne drewno
w przestronnym hallu: zatem forma
oczekiwania na to, co nieuniknione,
zależy głównie od ciebie. Jednak teraz
to tylko zmęczenie niczym dziura
w drzwiach, nikomu niepotrzebna,
panorama kolejnej opowieści ze słowami
pewnego dnia lub nocy i znowu ktoś
skrada się po schodach
z uśmiechem przeznaczonym
dla wybranych. Wiesz,
miałem na myśli te i inne sprawy
oraz całą stertę rzeczy, z którymi
nie wiadomo, co począć: jak te
kosze z wiśniami i niespokojne sny,
kocie bójki nad ranem, a także rysunek
przedstawiający zwichrzone wzgórza,
zieloną nić prowadzącą do niewidocznego
oceanu. Byliśmy tam, lecz teraz
jesteśmy tutaj. No i proszę,
pora roku zmieniała się w prozę,
na którą wszyscyśmy czekali.

Niektóre wieczory są szyfrowane
deszczem, inne nie, a gdzieniegdzie
przyjemne płomienie: czerwienie, żółcie
i pomarańcze, sterty stygnących liści,
przyjazny błękit ruchliwych godzin
w czasach drzew i to okazjonalne
szturchnięcie ramieniem gdzieś
z tyłu głowy, które mówi nam,

że miasto żyje swoim własnym,
zewnętrznym życiem
bez względu na lokalne potrzeby
i tylko jakiś przygodny kataklizm
mógłby to zmienić, pogodzić nas
z cieniem rzuconym w poprzek ścieżki
prowadzącej przez miłość i śmiech
oraz korytarze łez, a także
przez pozostałe formy doświadczenia,
które przygotowano na długo
zanim się tu zjawiliśmy
niczym goście w tym niewidzialnym
audytorium, na wykładzie,
który miał się nigdy nie zacząć.

Życie jako gałąź przemysłu

Pomysł, że można to odessać z powietrza
jakiegoś bezwietrznego poranka
i uczynić czymkolwiek: rzeźbą jeziora,
snem portretu, cieniem czarnej skrzynki
na listy padającym na trawnik przed domem,
w końcu wypalił. I wkrótce cała okolica
dowiaduje się o naszym w niej istnieniu
i wprowadza tę trudną ideę zwaną społeczeństwem.

Jednak ten zewnętrzny porządek
nie ma większego znaczenia, jeśli nie należy do nas.
W końcu żyjemy, aby rujnować ten system,
lecz również po to, by żywić jego racje.
A kiedy ta wiedza staje się naszym życiem,
cały ten przemysł może nas spokojnie cmoknąć,
jeśli tylko wie gdzie i kiedy.

Na rzecz sztormów

Pewien facet wyróżnął na limonce,
wywołując salwę solidnego śmiechu.

Od pewnego czasu natrętna melodyjka
odciągała jej uwagę od ziemi, chwilę
później interesowały ją już tylko przygody.

„Byłam sama w drugim pokoju”,
pisała, jakby uprzedzając zmiany,
które zaszły za daleko. Według zegara
na szczycie tęczy miały upłynąć lata świetlne
tego nieporozumienia. A jednak wynalezienie
nowego języka zajęło im niespełna tydzień,
czym wyznaczyli nowe standardy
dla pewnych starożytnych technik komunikacji.

Koleś, który przypomina zbitego psa
gadającego z duchami przez walkie-talkie,
wypisał to sobie na tryumfującej twarzy.

Expect A Big Move Here, Asparagus

Centralną postacią tej opowieści jest ząb.
Ale nie dajcie się zwieść. My się daliśmy.
Zresztą nie ma czasu na głupoty.

No więc, kiedy on wchodzi do pokoju
ma na sobie jasne bawełniane spodnie,
a w ręku trzyma kopertę w postaci kremowego rewolweru.
Facet porusza ustami jak ryba, która uczy się czytać,
i wolno literuje werdykt. Kobieta okrywa się futrem,
kolorowym jak alfabet. Ani śladu podstępny
w siatce luźnych domysłów, którymi obdarza nas ta scena.

Wszystko jest na swoim miejscu: do parku
pochylonego nad domem, niby klient
nad wyczekiwany posiłek, zjeżdżają gapie.
Żarłoczny cień ma ich w garści. Dzień później
w mediach przewijają się obrazy ilustrujące
wilgotne zachody słońca, koncerty w jasnych
ogrodach i narciarskie kraksy na zamorskich stokach.

Sądziłyśmy, że to wszystko stanowi
rodzaj jakiejś większej, pierwotnej układanki,
z życiem i przypisanymi do niego wyjaśnieniami
umieszczonymi na granatowym frontyście nocy.
Ale nic z tego. W tej rozległej przestrzeni
istnieje punkt, który jest zawsze ostatni. Punkt dla ciebie.

Czym jest poezja

Przez kuchenne okno wpada miękkie światło lipcowego poranka.
Albo inaczej: pod koniec dorocznego zlotu miłośników amatorskiej
poezji pornograficznej, podczas uroczystej kolacji w hotelu Eden przy
Rembrandt Square w Hadze, pewien brunet kieruje się na środek
okazałej sali restauracyjnej i z niewielkiego notesu odczytuje na głos
następujące słowa:

„Do pewnych prawd mamy wyłącznie instrumentalny stosunek.
Prawdy bolesne pozbawiają nas intymności w świetle tego, co
zwykliśmy uważać za fakty. Inne odkrywają przed nami daremność
ludzkich pragnień, którym odtąd przyglądamy się wyłącznie z bezcie-
lesnym zainteresowaniem”.

Jego holenderski jest nienaganny, lecz odczytane słowa wzbudzają
pewne zdumienie. Umiarkowany aplauz, który towarzyszy mu pod-
czas drogi do toalety, sprawia, że na jego twarzy pojawia się zagad-
kowy uśmiech. Ukradkiem opuszcza budynek i chwilę później zajmu-
je miejsce w taksówce, która kieruje się na lotnisko.

Trzy dni później opowiada o całej sytuacji przyjaciółom podczas
wieczoru, który spędzają wspólnie z okazji jego urodzin w niewiel-
kiej chińskiej knajpce przy East Belvedere w Baltimore. Przyjaciele
zanoszą się tubalnym śmiechem, który słychać również po drugiej
stronie ulicy.

Dalsze ilustracje

Muzyka uderza w powietrze, wywracając miasto do góry nogami. Upiorny werbel przełamuje wieczorne niebo i ptaki rozsypują się nad budynkiem jak puzzle. Czy to nie dziwne, że tak mają się sprawy?

Trochę gniewu ścieka z resztek popołudnia, podczas gdy inni mają własne zmartwienia. Facet w pobliżu zakładu fryzjerskiego, okryty szczerze sekretem, ślini swój ołówek

i nikomu nie daje dojść do słowa. Kiedyś był tam niezły lokal, lecz później biuro przeniesiono pod ziemię i właściwe życie zastąpiły pogłoski oraz dziwne inwestycje: głowa smoka pożerającego wieczory.

W końcu żółte chmury odsłoniły rozwarstwione niebo, skąd gigantyczna ręka sięgnęła do czyjegoś rozsądku. No i on, mężczyzna w sile wieku, zapłakał na progu swojej groty.

Sukienka Möbiusa

„Czym sobie na to zasłużyłem?”, myślał, wymieniając numer telefonu z węgierskim przedsiębiorcą pogrzebowym w łaźni miejskiej w Toronto. Zaledwie kilka dni temu przybył tu podpisać lukratywny kontrakt na import diamentowych piłek do metalu i od tego czasu jego życie przypomina rebus z pudełka płatków śniadaniowych (w cyrkowej scenerii Kapitan Hak przeskakuje przez płonącą tarczę zegara, w sprawnej ręce trzyma słownik otwarty na hasło: UPRZEMYSŁOWIENIE, dodatkowe litery to: T i K, poniżej słowo OPERA, całość po szwedzku), które tak uwielbia jego trzydziestoletni syn.

Jest typem człowieka, który czytając jakiś zabawny fragment, najpierw dwu- lub trzykrotnie chłonie jego treść, zanim wybucha donośnym śmiechem. Nie można więc powiedzieć, że działa bez namysłu. A jednak po drodze wszystko rozgrywa się jak w ruletce: awaryjne lądowanie na ośnieżonym polu kukurydzy; płonące hotelowe piętro gwałtownie wypłuka bagaże oraz resztki wyposażenia jego pokoju w lodowatą, rozgwieżdżoną noc, którą spędza na dworcu autobusowym, w wyniku czego wysoka gorączka sprowadza go do gabinetu lokalnego znachora (plakat z poczekalni przedstawia grupę nagich mężczyzn w nieokreślonym wieku z umalowanymi na czerwono twarzami, poniżej podpis: „Niektóre z tych plemion postrzegają chorobę jako błogosławieństwo”).

Świt zastał go na brzegu rzeki, ściskającego w dłoni olbrzymiego ziemniaka. Mlecznoblade światło utworzyło wokół jego głowy arabeskę, która po chwili stała się grą cieni, pozorem obrazu, a jednak czytelnym sygnałem, aby uczynić coś ze swoim życiem, poruszyć czymś, co zostało zakonspirowane tego styczniowego poranka pod sporymi zwałami śniegu, nad którymi pora dnia, niby przyciasna sukienka na ciele tego niezbyt już młodego mężczyzny, uformowała pewien rodzaj dyskretnej dekoracji z niewielkich budynków, samocho-

dów, nieczynnej stacji benzynowej i skrawka różowiejącego nieba
w wianuszku chmur z płomiennych kwiatów, roześmianych czaszek
oraz przekroju serca, przez które przelatuje żółty samolot ciągnący
pogodną, błękitną wstęgę ze stylizowaną gotycką inskrypcją: „Jeśli
wydaje ci się, że wiesz kim jesteś, pamiętaj, że możesz być w błędzie”.

Burzliwe rozpogodzenia

Jej kot nazywał się Orzeszek.
Pewnego dnia spakował manatki i wyjechał.
Nie widzieliśmy go już więcej.

Później przyszły święta
i ktoś trzasnął drzwiami lodówki.
Myślałem, że to przeciąg.

Po latach wreszcie znalazłem
tę książkę o srebrnych świerkach,
choć dawno zdążyłem zapomnieć,
do czego była mi potrzebna.
A jednak miało to jakieś znaczenie.

Mężczyzna biorący prysznic w hotelu

Kim jest kobieta podciągająca lekko sukienkę dziewczynki i dlaczego domy w tle są rozmyte, jak gdyby oddzielał nas od nich ogień? Jakiś dzieciak przejeżdża swoim szpanerskim wozem i wrzeszczy do radia: „Pierdol się z tą całą swoją logiką!”, po czym z przenikliwym piskiem opon znika za zakrętem.

Przez jakiś czas spotykał się z pewną dziewczyną. Lubiła egzaltowane kino i rebusy. Z czasem oddała się jednak czysto duchowym rozrywkom i wyjechała na odległą farmę, aby zarządzać mizernym majątkiem jakiejś religijnej wspólnoty o bliżej nieokreślonych celach. Próbował hazardu, uprawy pomidorów na farmie w Danii i malowania pocztówek, jednak nic nie pozwalało mu zapomnieć o ulubionym psie, który pewnego listopadowego wieczoru wskoczył pod koła rozpędzonej ciężarówki na drodze do Auburn w stanie Nowy Jork. Postanowił wyjechać i spróbować od nowa. W pewnym klubie w Londynie poszukiwano barmana. Po przyjeździe zatrzymał się w miejscu o nazwie *Temporary Residence*. Obraz w hallu przedstawiał jakiegoś młodego człowieka wysiadającego z taksówki na bezludnym przedmieściu. Następnego dnia obudził go huk walącego się budynku i wówczas spostrzegł siebie na skraju przepaści, gdzie jeszcze wczoraj zaczynała się łaźienka. Śnieg powoli zakrywał strzępy armatury, powykręcanej w dole niczym resztki upiornego robota.

W tym samym czasie jego brat bliźniak siedział zabarykadowany w domu nad jeziorem Huron, pochłonięty bez reszty grą w szachy ze swoim kotem i pisaniem powieści detektywistycznej o przygodach zespołu rockowego, który podczas trasy koncertowej w tajemniczych okolicznościach traci gitarzystę.

Narrator tej opowieści, perkusista, w jednym z rozdziałów schodzi do piwnicy i trafia na wytatuowanego mężczyznę, który żywi się elektrycznością. W innym spada ze starego mostu kolejowego do

cuchnącego kanału. W trzecim od końca odbiera telefon na kompletnym pustkowiu. Istnieje podejrzenie, że do zniknięcia gitarzysty przyczynił się któryś z członków zespołu. Być może narrator. Nawiasem mówiąc, bliźniacy nie mają nawzajem pojęcia o swoim istnieniu.

Nowa kolonia

Istnieją sprawy, które nie dają nam zasnąć,
jak zawalony budynek na drugiej półkuli, rytuały
jakiegoś skomplikowanego społeczeństwa.
To właśnie dzięki nim wytaczamy się
ponad ponure rafinerie własnych dni,
choć nigdy się z tym nie obnosiliśmy,
bo to mogło dotyczyć również innych,
światlejszych i lepiej poinformowanych,
a w naszych danych jest nadal parę nieścisłości.

Teraz jednak wszystko wygląda inaczej.
Wczorajszy duch śpi w obrębie dzisiejszego biura.
Z latarką w zębach, szperając w zgliszczach,
dotarliśmy do punktu, w którym ankiety
nie przedstawiają już żadnej wartości.

Zresztą przykłady klasycznego okrucieństwa
można by mnożyć, lecz wszystkie giną
w starych ciemnościach: plaster sera
reklamuje arktyczne rodeo, istotny surowiec
z lodowca utknął gdzieś na Morzu Północnym,
nie wiadomo gdzie. Narzędzia z kurzu
i drobnej elektroniki, które tubylcy
przerabiają na biżuterię, właśnie trafiły
w naszą okolicę. Co jeszcze
miałoby się wydarzyć? Obejmij ten meteor.
„Każda apokalipsa zaczyna się od delfina”.

Jasne, że mieliśmy noże

Rozległe tornado plądruje nasze dni.
W jego cieniu wyrasta nowa korporacja.
Kiedyś było ich pięć, jak w piosence,
ale to melodia dawnych zmian,

których już nikt nie rozumie.
„Dlatego stworzyliśmy własną muzykę”,
mówimy, kiedy kaskada ciemnych gitar
grasuje w okolicy, biorąc pod włos

kolejne inwestycje, a gwiazdy gapią się z góry
jak gliniarze wysłani na patrol
w galowych mundurach. Jednak w tych czasach
nikt już nie zważa na gliniarzy, ani nie stara się mówić

zbyt miłych rzeczy. Skorumpowany księżyc
ślizga się po rzece jak lśniąca czaszka i to jest
centrum niecierplivej nocy, uwertura upalnego lata,
kiedy chciałoby się zjeść jabłoń w wannie,

albo oszaleć z powodu jakiegoś nieporozumienia,
zażyć lodu lub chociaż wyjechać na wieś,
nad brzeg jeziora wstrząsanego upiorną nawałnicą,
ponieważ każda noc trzyma nas w garści,

w atmosferze podejrzanych wyborów,
i płączemy się po tych sfingowanych
ruinach stanu rzeczy, czerpiąc przyjemność
z rozpadu i narastających zniszczeń,

rozumiejąc więcej lub przynajmniej
stwarzając pozory rozumienia czegoś –
czegokolwiek, co pojawia się z zewnątrz
wraz z potężnym, nieznanym językiem przyszłości.

Potwory i nowe budynki

– *Panie Lee, jak się panu zdaje, dlaczego potrzebuje pan narkotyków?*
– *Potrzebuję ich, żeby rano wstać z łóżka, ogolić się i zjeść śniadanie.*

– BILL BURROUGHS

Dzień w parku, do którego nie docierasz. Polany są pełne wrześniego światła, które przechodzi w październik, a następnie w „zimne dni kurczącego się śniegu”. Ktoś przechadza się ślepnącymi alejkami. Ktoś inny zostawił notatkę na schodach: „Kiedy wchodzi gliny, wszyscy sztywnieją, choć nikt nic nie zrobił”. Społeczeństwo w ogóle ma się nie najlepiej. Wchodzisz jednymi drzwiami, wychodzisz innymi, ukradkiem oglądając za siebie.

„Możesz mi zaufać”, szeptała gazeta we wnętrzu przestronnej biblioteki, jak gdyby fakty były czymś trwałym i oczywistym, dwuwymiarowym, jak zadrukowane płachty papieru, na których coś przedstawiono. Spróbuj coś z nich zbudować. A teraz to sprzedać. No widzisz. Dlatego najlepiej odpocząć, wyjechać, lub po prostu wyłączyć nadajnik ukryty w klombach za domem, a później obserwować ciemne wykresy deszczu na tle oddalających się zabudowań, kiedy wszystkie wcześniejsze troski lecą jak przez sen w stronę nieważnych wniosków.

Tymczasem inni widzą to wszystko inaczej. Wsiadają rano do samochodu i przedzierają się w stronę własnej architektury dnia, mijając przedmieścia, budynki użyteczności publicznej, całą tę fasadową politykę krajobrazu w drodze do pracy. Żyjąc i pracując w interesie czegoś większego i nie całkiem zrozumiałego, firmują swoje prywatne, ograniczone potrzeby: krótkie, wypalone wakacje nad linią brzegową szerokości pocztówki. I to jest jak odkrywanie ukrytego obrazka przez łączenie punktów – czyjeś życie. Być może twoje, choć teraz jesteś daleko, zbyt zajęty sobą, „za ścianą zieleni

i bezsensownej gadaniny gawronów, żeby usłyszeć choćby sygnał telefonu” – jak utrzymuje piosenka. Myślisz o nazwisku nabazgranym na marginesie ogromnej książki telefonicznej tej aglomeracji. Gdzieś w środku ośnieżonego lasu – daleko na północy – właśnie przewraca się drzewo.

Teoria ruiny

(według Pasoliniego)

*Trawienie spełnia uprzywilejowaną funkcję poematu
bądź dramatu, źródła ekstazy albo poświęcenia.*

– GASTON BACHELARD

Przybysz w domu magnata przemysłowego szczerze obdarza dyskretną pociechą („akceptuje wszystko, nie przyjmuje niczego”) mieszkańców ponurej rezydencji na przedmieściach Mediolanu. Aczkolwiek jego postawa ogranicza się jedynie do stworzenia uprzejmego systemu gestów komunikujących zrozumienie dla ich położenia, szybko zostaje wzięty za anioła, który z jakimś szczególnym ładunkiem łaski przystępuje do dzieła odnowy ich egzystencji, pozbawionej celu, od dawna już ulokowanej poza nawiasem wszelkich trosk materialnych.

Matka, żwawa lisica, po kryjomu obwąchuje kołnierzyki jego niedbale porzuconych koszul, gładzi spodnie i, z czułością niespotykaną u kobiety o jej statusie społecznym, wieszka jego marynarkę na oparciu krzesła. Te pozostawione w nieładzie ubrania wyzwalają w niej nieświadomą wcześniej tęsknotę za doskonałą nieobecnością kochanka, widma, które w jej wyobrażeniach mogłoby sprostać wszelkim starannie skrywanym zachciankom.

Poranne światło przyprawia go o długi zawrót głowy. Linia drzew, kratownica cienia dzieląca trawnik z tyłu domu na nieregularne pola (każda piędź ziemi przedzielona szarociemnym kształtem to mniejsze zło, którego całość stanowi suma jego stanu posiadania), dręczy go w snach od czasu pojawienia się w domu dziwnego przybysza. Ten niepokój przychodzi właśnie nad ranem, z pierwszymi promieniami światła przedziera się przez ogrodzenie i umiejscawia pod zastrzeżonym adresem jego nagle przerwane snu.

Nocny personel

Przez chwilę obserwuje dwóch mężczyzn śpiących w jednym łóżku. Jeden z nich jest jego synem, z zacięciem i wątpliwościami właściwymi dla swego wieku usiłującym zostać artystą dzięki studiom na wydziale malarstwa. Drugi mężczyzna jest zagadką, która wprowadziła się niedawno do tego domu. Mimo woli w żaden sposób nie potrafi się jej oprzeć, przystając na tę dziwną, w pewnym sensie zawstydzającą jego poczucie smaku i wartości, obecność.

Wkrótce ogarnia go smutek i skomplikowany niby labirynt żal, który mógłby ugasić tylko w ramionach niepodejrzewającej niczego, pogrążonej we śnie żony. Jednak łóżko już dawno przekształciło się w puste pole, znak odniesiony do czegoś minionego, pozostawiony mimo to w dzielonej wspólnie przestrzeni. Teraz, stojąc u wezłowania i spoglądając na biel pościeli porzuconej po swojej stronie łóżka, niczym język śniegu w zaciętej dolinie, nie potrafi myśleć o tym miejscu inaczej niż wyłącznie jak o przypadkowej i pozbawionej jakichkolwiek współrzędnych przestrzeni fizycznego spektaklu.

Trywialna grawitacja, inercja ciał pozostawionych samym sobie w przestrzeni wykluczającej bliskość pozbawia ich szans na wspólne przetrwanie w warunkach, które pod innymi względami nigdy nie mogłyby być dogodniejsze. Kolejne lektury (Tołstoj, Dostojewski, Camus) nie dają mu koniecznej pociechy: „Takie było całe jego życie; dotyk łagodności niespodziewanie zmienił go w gwiazdę”.

Przez długi czas ktoś stał za tymi instytucjami, przesiewając gruz starych wniosków, anulując światło nowych. Aż w końcu coś wygasło, skończyło się i skomplikowało, i pewnego razu jakiś złożony cień stoczył się w trzewia mostu nad zachłanną rzeką. Inny, bardziej horyzontalny, prowadził schodami na tyły ceglanego magazynu i miał w sobie coś z pociechy, kiedy dni mijały w przyjaznej desperacji. Swoje zadania w biurze traktował z wzorową rezerwą, zawsze wypatrując czegoś bardziej fortunnego, jak samolot, gwiazda lub ogon komety dryfującej w płomieniach nad odległymi wzgórzami. W końcu musiał to z siebie wyrzucić, aby nie utknąć we śnie, który dotyczy nas wszystkich w tym samym zakresie, razem, a jednak z osobna.

I teraz treść jego medytacji opada jak kurtyna na przedmioty naszego nieświadomego życia: potężna definicja. Jej administracyjny czar przygniatał nas stopniowo z każdą porą roku lub dnia zjeżdżającego w stronę stromego wzniesienia zmierzchu. Jednak we śnie minęło już kilka lat i nagle wszystkie dalsze pomysły przypominają jakiś mechanizm zainstalowany wewnątrz wieży, w parku relegowanym na przedmieścia, kamienny symbol pewnej trudnej biurokracji, stygnący w dystyngowanej gablocie: czas oczekujący na inne paradoksalne czasy,

W dobrych latach zawsze czekamy na lepsze

jakby liczba mnoga mogła pokryć tę dawną nieudolność
czymś nad wyraz większym, oficjalnie czarnym
i niebieskim, godnym naszej straconej uwagi.

Nie mogli tego lepiej wymyślić (ponieważ
zawsze byli jacyś oni), ci którzy stworzyli ten interes,
jego rozległą geometrię, obracającą się o różnych porach
nad unikalnym punktem miasta: sercem
jego posępnych inicjatyw. To one określają nasze
przyszłe deficyty, a także pewne umiarkowane
możliwości, oferując nam to ostateczne twierdzenie,
że wszystko już się wydarzyło i stąd wiemy,
że jest możliwe, ponieważ jest, to znaczy istnieje.

Przez cały czas przeczuwaliśmy coś na opak,
jednak siła zapewnień sączących się zewsząd
zawsze była większa. Dlatego ten stary,
starannie ukryty przed wszystkimi żart,
niejasny proces zachodzący w skale
utwierdzonych przekonań, wciąż unosi się
i opada na horyzont zdarzeń, jak firanka w oknie
opuszczonej nieruchomości, gdzieś na obrzeżach
tradycyjnego miasta, przechylonego
przez wszystkie misterne gradienty światła,
które zgodnie z założeniami odwiecznych form grawitacji
przechodzi właśnie w modelową nieuchronność
coraz przestronniejszej nocy.

Mówi, że „trzeba wymyślić własny format”,
pisać o tym, jak to się właśnie
tobie przydarza, w porządku twoich doświadczeń.
Dlatego kryształy, górskie rzeki, tawerny i zaginione
kamienie, wszystkie te stare sprawy i cywilizacje
można już wcisnąć między strony gotyckiej powieści.

Obecnie istotna jest prędkość wyrażana w terminach
płynności przekładu, karmin mrożonego campari
w centrum Makao, pierwsze milimetry śniegu
na postwulkanicznej skale. Dzięki temu ktoś,
kto nawet nie rozumie natury
swoich obowiązków, idzie na żywioł
i wkrótce ląduje na sporej posesji,
próbując wysłać nową wersję samego siebie
w smutną i szarą przeszłość: „Spacer był niezły,
widok krwiożerczej zatoki odprężył nerwy
i zmienił mój stosunek do lata”. A jednak później,
klejąc obrazy smutku na transatlantyckim statku,
wyciągnął rękę w stronę japońskiej fali,
jakby zamierzał pogłaskać ten sen,
w którym strażacy wbiegają na piętro
zawsze pod niewłaściwym adresem.
Klnąc wszystko, na czym ten świat stoi,
płonąc, jak okiem sięgnąć.

Coś było w tej wodzie

Przebyliśmy spory dystans, aby się tu dostać
i walczyć z demonem ukrytym wewnątrz maszyny.
Muzyka ryknęła ze ścian i spadły wszystkie obrazy.
A wtedy dyrektor szkoły zaproponował portret

tej małej blond wiedźmie. Odtwórca głównej roli
to sprawny amator, samouk, jednak każde płótno
jest podmiejską kliszą: krowy na trawnikach
przeciętnych posiadłości, niewyniesione śmieci

krzyczą wprost w otwarty mrok. Matki i córki
czeszą włosy koloru indygo niejasnemu przybyszowi
i coś rośnie na krawędzi lasu,
jakiś nowy porządek. Tymczasem miasto

znowu pochłonął huragan. Wszystkie kroniki
w kraju trąbiły na ten temat, ale my byliśmy
daleko poza jego granicami, oglądając powtórki
kolejnych sezonów. Tych, które dopiero miały nadejść.

Czerwone drzwi

Słońce wali na oślepe
w różne rzeczy
w głębi podwórza. Niektórzy
nazywają to śródziemnomorskim parkingiem,

inni wolą się nie wychylać. Ale kiedy wchodzi,
nawet numery są w porządku: przejrzyste światło
zwała się na obraz pustego łożyska rzeki, linie
wysokiego napięcia stawiają czoła pustemu horyzontowi.

W końcu czego się spodziewał, przychodząc tu,
kursując wśród znaków, odkrywaliśmy
przed nim proste prawdy południa
oraz przemoc, czarującą jak silnik Diesla, serce lasu w nocy.

I na koniec dnia wie z pewnością jedno: każda noc
jest hotelowym pokojem, gdzie czekają go wyłącznie
osamotnione eksplozje. Ogień, drewniana gwiazda
na końcu pustego korytarza powietrza, wskaże mu drogę.

Nawiasem mówiąc

Dzień stał się zimny i przezroczysty,
jak sądzi większość. Ale ktoś zerknął
przez ramię i nie znalazł ani słowa na ten temat.

Jeśli nie podoba ci się pogoda,
pomyśl o plaży obnażonej przez słony uśmiech
i o tym, co zostaje po wszystkim:
trochę piany na żwirze i ten wir
ciągnący nas w swoją stronę,
która jest życiem, czymś
w rodzaju obowiązkowej interakcji.

Jednak czy należy poddawać się
tej perspektywie i mieszkać w niej,
jakby była domem obramowanym płótnem
wspólnego mniemania? Mówić to,
znaczy tyle, co trzaśnięcie drzwiami
w niewidzialnym lesie.

Podczas burzy

Pory roku, żywioły powietrza, naturalne struktury
nadal górują nad rynkiem i zrozumiałością
jego zasad. Ile na tym tracimy,
wciąż tracąc? Czym zresztą są straty,

jeśli nie drobnym drukiem u spodu
arbitralnie zawartej umowy? Z drugiej strony
mgła była w tym miejscu zawsze rzadsza,
a przeszkody łatwiejsze do pominięcia,

jak dzień urodzin lub długi posiłek, coś w rozmowie,
jakiś detal w niezobowiązującym stylu,
w którym w ogóle poruszamy się w tej wąskiej
życiowej przestrzeni potrzeb, zapewne nie tak długo.

To kwestia czasu, materia ruchliwa jak cień szczygła
na masce samochodu, coś czerwonego niczym
złość pogrzebana w korzeniach tego drzewa na wzgórzu,
gdzie właśnie zmierzasz, choć ja już tam jestem.

Pocztówki z przyszłości

[...] czaszka stopniowo zanika, aby zostać zastąpioną przez postać kobiety [...]
— ANONIM

I

Jeśli pewnego wieczoru ktoś pożegna cię słowami: „Do zobaczenia jutro”, a następnego dnia obudzisz się wtulony w łyżkę do zmiany opon w jakimś nieznanym sobie miejscu, możesz spokojnie przyjąć, że życzył ci źle. Oczywiście, nie ma sensu pogrążyć się od razu w bezpodstawnych oskarżeniach. Takie rzeczy się czasem zdarzają. To mogła być kwestia kilku niewłaściwych wyborów. Jak w tej historii o facecie, który w pewien kwietniowy poranek bez wahania przekroczył próg pokoju w przekonaniu, że oczekuje tam na niego ktoś godny zaufania. No cóż, pomylił budynki i tyle.

II

Tymczasem teraz w nieco jaśniejszych aspektach możemy podziwiać wspaniałe cienie, jakie rzuca pewien niedokończony budynek na jednym z ostatnich płócien Charlesa Sheelera: jakby prysznic ceglano-światła przeciął horyzont i spoczął na czyjejs nieobecnej twarzy. Rzeczy takie jak ta dają pewne pojęcie na temat tego, czego jeszcze nie widzieliśmy, pozostając unieruchomieni w aktywnym strumieniu bieżących spraw, które płyną z przyszłości w przeszłość, odbierając nam po kawałku złudną pewność siebie w naszym nieustannym teraz, na podobieństwo rzeki podkradającej fundamenty domu postawionego na zbyt wysokim brzegu.

III

Według pewnej książki znajdujemy się teraz w innym miejscu, tak jak możemy upadać lub wznosić się ku temu co nieuniknione, jak sny, hazard i liście opuszczające drzewa pod naporem natarczywej argumentacji wiatru. Później zaniedbujemy zobowiązania, ponieważ po-

jawia się miłość, no więc miłość, zielone draperie plus trochę tego dekoracyjnego stylu, w jakim zima opuszcza region, pozostawiając strumienie i krzewy w poprzednim porządku. I naprawdę sądzimy, że to w porządku okazywać uczucia jakby przez folię śmiechu i łez, a także wstydlivego zakłopotania, kiedy gaśnie muzyka i porzuca nas na brzegu własnej nieśmiałej aktywności. Wówczas zauważamy wokół ten sam nieład, pozostawiony jakby w trakcie rozmowy, poza kadrem obejmującym posiłek, zdrowy sen i zbyt niskie zarobki – tak wiele rzeczy, które mogłyby mieć jeszcze znaczenie, ale tyle rutyny przenika te dni, więc czy nie możemy się jej pozbyć choć na chwilę? Alkohol przemknął przez głowę, pozostawiając pragnienie – każdego dnia potężniejsze, jak niebo pokryte ołowiem, drzewa, w których skrywa się głowa oddzielona od ciągłego dnia, podczas gdy wieczorem pozostają jedynie skrupuły czepiające się czasu jak nasiona w zębach. Ale na poziomie argumentów wszystko gra. Ten stary numer to przyszłość, przeszłość, która się jeszcze nie wydarzyła.

Przypadek jest formą porządku

Jak tamten stuknięty farmaceuta ganiający na golasa o świcie po parku my również mieliśmy niezły ubaw, krążąc w poszukiwaniu czegoś interesującego w tym połatanym krajobrazie. Pola i fabryki, panoramy złożone z nieużytków, fragmenty dróg, których nie wybraliśmy, przestrzenie wspinające się między odległe zabudowania i nieruchome lasy powyciągane z niedoświetlonych horrorów, miejsca pozbawione nazw, wszystkie jak znaczki w roztrzaskanym klaserze, nieprzytomne światła samochodu otulone ciemnością wzdłuż niekończącej się drogi przez rozległe tereny – „ciemne jak tyłek nietoperza” z piosenki, którą złapało nasze roztargnione radio.

Niczym dygresja na temat wolnorynkowej gospodarki podczas wykładu z mikologii, no wiecie, kiedy umysł błądzi trochę bez sensu, jak kot w pudle po butach porzuconym na skraju opustoszałej plaży, po prostu ciągnęło nas do przodu to dziwne wycie w powietrzu, policyjne światła, przypadkowe pożary, kłęby fioletowych oparów nad zakładami chemicznymi, coś w rodzaju niepewnego olśnienia, które zjawia się zniemacka i po chwili gaśnie w objęciach nieokreślonej geografii.

Gdzie my w ogóle n i e byliśmy? Podmiejskie okolice, czerniejące szroty, hałdy szarego kruszcu, nieczynne przejazdy, rupiecie porośnięte rdzą, warsztaty czynne długo w noc, samotne domy pod lasem, sosny na steranych nasypach, psy wyjące w ciemnościach, gnijące ambony, ceglane budynki, rzeki, mosty i sady, lekkie wzniesienia, geometryczne pola pszenicy, rzepaku i ziemniaków, wydmy i obory, jeziora, przypadkowa roślinność osłaniająca stare kanały, stosy cegieł porzucone wśród rudych łąk: to jest wewnątrz kraju, który widzisz, ta otwarta ziemia.

Momentalnie pojęliśmy problemy tej rozrywkowej epoki. Wszystko wydało się bardziej przestronne i zagrażające nam bardziej niż chmury, zdjęcia chmur widziane przez teleskop w jakimś spło-

wiałym magazynie. Poważne górskie grzbiety wpadały w śliski, oceaniczny błękit, podczas gdy w tle rósł księżyc ze swoim regionalnym blaskiem i ciężarówka pełne pomarańczy sunęły w mroku na północ przez niedostępne mosty.

Ktoś to wszystko musiał kiedyś zorganizować, położyć łapę na terenach sięgających horyzontu i wyciągnąć jakieś korzyści. Jacyś ludzie nieustannie pracują nad tym bestialskim czarem, po cichu, jak ktoś, kto niepostrzeżenie przekręca klucz w zamku i mechanizm łagodnie unosi ciemnoniebieskie fale na deskach niewielkiego teatru. A jednak życie to zawsze zaledwie jedna myśl na raz. Oczywiście ma to swoje meandry i różne pomniejsze arkana, lecz cała nasza wiedza na ten temat z reguły jest niejasna, choć sprowadza się do paru ogólnych zasad: nigdy nie pytaj o sprawy, które poprzedzają piosenkę; nie przegap wieczności, jak mówią znaki, bo noc niczego nigdy nie wyjaśnia, a każda rzecz w jej wnętrzu jest dziwniejsza od nazwy, która ją przedstawia.

Kanada cuchnąca benzyną

Całymi dniami siedziałem i czytałem
stare katalogi domów handlowych.
Słońce jeżyło się nad fioletowo-rudym świtem,
kiedy wiewiórki grzebały w moich śmieciach.

Pewnego razu obudziłem się w sztywnej pościeli.
To była duszna, pogodna noc i okna były otwarte.
Ktoś pracował w ogrodzie przy świetle latarki,
nie poznałem go, jego twarz była niewidoczna.

Wczesne wydanie

Nowy dzień staje w ogniu
zmian, na jakie od początku
mieliśmy ochotę. Rzeka
spłukuje brzeg, ciemny od deszczu,
i w zasadzie trudno powiedzieć,
co nią jest, gdzie zaczyna się
ciemność: czy jest nią nurt,
transportujący darń i gałęzie
po drodze w dół, czy może droga,
którą przemierza to pytanie?

Obecnie w tym mrocznym
doświadczeniu istnieje tyle słodczy,
z którą miłość dedykuje nam świt,
tę audycję u kresu ciemności,
skąd wyrasta jakiś głos,
jak z niewidocznej głowy,
a każdy dźwięk staje się częścią
czegoś większego i sączy
między drzewa splecione
w niezrozumiały repertuar.

Czytasz kawałek
i bierzesz do serca scenę,
w której ktoś wygląda z okna
na ulicę: „Co ja tutaj
do cholery robię?”
W kręgu podobnych pytań
przemieszczamy się jak alpiniści
w strzępach chmur. Niebo domysłów
rozpościera się w dole.

Białe budynki

Przez większość czasu chodzi o to,
aby przekazać, na czym polegają
podstawowe kwestie: życie z dala
od ludzkich osad nie jest ani odrobinę
łżejsze od dotychczasowych prognoz.

Szczegóły oderwane od ramy dnia
szybują nad bryłą palmiarni,
lecz jakaś całość dopada nas niczym obraz
po przejściu orkanu: krajobraz zerwanych
plandek, diagram głuchych fasad.

Taka jest częściowa groza naszego położenia:
architektura rzeczy, to znaczy uwagi, z jaką
jesteśmy gotowi dać się im pochłonać, wessać
jak ciepłe morze pod słone skały,
by zostać wyplutym w centrum innej godziny,
w to przedpołudnie wiele lat temu, widziane od kuchni,
znad skraju talerza jaskrawych owoców: to praca
kierująca naszym dzisiaj i teraz,
kiedy każda rzecz zostaje opatrzona datą.
Widzimy ją w strumieniu wewnętrznych widoków,
w ogólnych standardach przyjętej ciągłości,
gdy coś z zewnątrz nieustannie wciąga nas w grę
na wszystkich poluzowanych piętach rzeczywistości,
a chmury zrzucają rzeźbę dnia na te i inne drobne sprawy,
i z czasem jest ich tyle, ile liter na stronie książki
niedbale przerzuconej przed wyjściem z domu,
podczas gdy pogoda pozostaje niewzruszona, wysoka
i stanowcza w swoim oślepiającym wrzasku.

Roger Wilco

„Pewnie, że mamy skrzynkę koło drzwi,
nie zauważyłeś?”. Wchodząc
nimi dwa lub trzy razy do roku,
powinieneś to już chyba wiedzieć.
A jednak dopiero teraz, w miętowym zmierzchu
zapadającym nad posiadłością, usiłujesz
odpowiednio zaadresować swoje zdumienie.

Zresztą, co znaczą te słowa
i czy musimy się ich czepiać,
jak gdyby opowieść była czymś więcej
niż sznurem ze słów, zwisającym
z soczystej chmury, ścieżką prowadzącą
za skałę czyjejs wiedzy, gdzie kryje się
tajemnica? W końcu prawda nie może
być nadto okrutna, przynajmniej dla nas,
czytelników, ponieważ nigdy nie ma nas
tam, gdzie nie możemy być, będąc tutaj,
to znaczy w książce. Również rzeczy,
których pragniemy, nie zawsze są rzeczami,
o których wspominamy – nie w sensie
wspomnienia, lecz w nieco szerszym
kontekście uwagi poświęcanej zmianom,
które posiadły status łatwej do przeoczenia muzyki,
zapisanej w chmurach zjawiających się
na wieczornym niebie, zawsze w układzie
pozbawionym precedensu. Czasem wystarczy
przyglądać się im tak długo, aby rozpoznać
coś znajomego: jakiś kształt odcisnięty w piasku,
od dawna nieużywane słowo lub piosenkę
nuconą w granicach planowanego ogrodu.

Tymczasem książka spoczywa na stronie, a jej wnętrze jest tylko wnętrzem książki, zawartością słów walących w doświadczenie niczym wiatr rozpryskujący się w ciemności o ścianę budynku, i mówi nam, że nie jesteśmy tym, za kogo podawaliśmy się przez tyle czasu, lecz że tworzymy szpaler złożony z niezliczonej ilości cieni wyciętych z ciemnej materii roztargnionego pragnienia.

Wszystko inne znajdujemy pośrodku, w tej uzurpacji ruchu, którą bez cienia ironii nazywamy czasem życiem lub którą z jego licznych części: figurą wyodrębnioną spośród koron złączonych drzew, kiedy noc zjawia się między stronami zamykanej książki.

System to zbyt wiele

Wśród szpargałów pozostawionych przez H., oprócz notatek do dwóch nieukończonych powieści i obszernego eseju na temat czegoś, co nazywał „estetyką rezygnacji”, znajdujesz notes z wycinkami ze starych dzienników: niemieckie, brytyjskie oraz włoskie doniesienia na temat tajemniczych obozów pracy na Księżycu. Są tam też wzmianki dotyczące rezerwatu, w którym w specjalnych warunkach miały być przetrzymywane wybrane gatunki ziemskich zwierząt. Według różnych „niezależnych” źródeł rezerwat na Księżycu składać się miał z prehistorycznych gadów („wskrzeszony czy przetransportowany?” – dopisek ołówkiem na marginesie), ptaków (*gobipteryx minuta*, *palaelodus ambiguus*, *struthis alexejevi* etc.), a nawet ryb („chimery!”).

Jego notatki na ten temat obejmowały rozmaite teorie dotyczące historii powstania sekretnej kolonii na Księżycu jeszcze podczas trwania drugiej wojny światowej (spekulacje obejmowały również możliwość przeniesienia części laboratoriów z Nowej Szwabii): „Tak szeroko zakrojony projekt mógłby mieć coś wspólnego z ideą Arki, gdyby nie fakty wskazujące, że został on zapoczątkowany przez nazistów [...]”. Te fantastyczne teorie, najwyraźniej popadając już wówczas w obłęd, H. klasyfikował w innym miejscu jako „prawdopodobne przyczyny ekonomicznego upadku III Rzeszy”. Jego umysł, wypełniony zagadkowymi detalami alternatywnych wersji historii, dostrzegał wyłącznie ciemną stronę Księżyca. W zaciszu swojej sypialni na zagraconym piętrze, otoczony reprodukcjami płócien Luciena Freuda, Bacona, Boscha oraz Goi, z lubością oddawał się eksperymentom z trudno dostępnymi odmianami LSD.

Wiele tygodni po jego śmierci gazety rozpisywały się o odkrytym na tyłach domu imponującym składzie broni oraz niewielkiej plantacji marihuany. „To na wypadek trzeciej wojny” – stwierdził pewnego razu, pospiesznie zamykając drzwi do składziku i kierując twoją uwagę

w stronę ogrodu: „Robinie rzucają o tej porze dnia s p e c y f i c z n y cień”. Sadził drzewa według ustalonego wzoru, który pielęgnował w swojej niepojętej wyobraźni przez całe świadome życie.

Schlegel napisał kiedyś: zawsze trzeba mieć system. Napisał również: nigdy nie należy mieć systemu. Tymczasem całe życie H. było starannie zaprojektowaną szaradą, która wyklucza dzieło przypadku. Czyste szaleństwo.

Świat rozpatrywany jako pole minowe

„Jakby w pokoju nagle zgasło światło” – powiedziała. Więc pewnego dnia obudził się w swoim mieszkaniu jako duch. Innego razu przebrany za pandę, w drodze do pracy, trzymał głowę między kolanami, cytując z pamięci dialogi ze *Star Treka*. Kiedy po posiłku w chińskiej restauracji sięgnął do koszyka, żeby zostawić napiwek, jego palce trafiły na ciasteczko z wróżbą. Zrezygnowany złamał je jak obietnicę, aby nie dawać wiary przypadkowym uśmiechom losu i odczytał: „Spróbuj przypomnieć sobie jakikolwiek kawałek Beatlesów i zanuć dzisiaj przed snem”. Tej nocy śnił, że jest morsem, który leci w przepaść pełną szarego śniegu. Na jej brzegach stali ludzie i machali podpalonymi transparentami z napisem „VAE SOLIS”. W okolicy krążyły tygrysy.

Obudził się, zapalił światło i stanął przed lustrem. I wtedy przypomniał sobie fragment książki czytanej wiele lat temu. Jej fabuła dotyczyła dzieci, które w szopie za domem budowały z kartonu i desek rakietę, aby polecieć na Księżyc i przekonać się, czy to rzeczywiście tylko kawałek starego sera zawieszzonego na sznurku. Narrator tej książki, emerytowany wykładowca literatury średniowiecznej, stawał wieczorami w oknie swojego ciemnego domu na sąsiedniej posesji i paląc fajkę, snuł rozwlekłe rozważania dotyczące przeznaczenia ludzkości. W istocie był członkiem tajnego stowarzyszenia, którego rytuały inspirowane były fazami Księżyca i w wolnym czasie uwielbiał fantazjować na temat niepostrzeżonego przejęcia całkowitej kontroli nad światem. Był również autorem potężnego, pięciusetstronicowego poematu prozą pt. „Intymny kontrast między światem a porządkiem reprezentowanym przez ogień” – wydrukowanego *in folio* w dwóch równoległych kolumnach, z kompletnym skorowidzem terminów z zakresu geologii, geometrii oraz geografii (oryginalny tekst zawierał również liczne krzyżówki i pewne złożone masonskie szarady, jednak niektóre z nich zostały odrzucone podczas ostatecznej redakcji tekstu).

Z tego właśnie dzieła pochodzi pytanie, które pojawiło się w jego myślach, gdy tak stał wpatrzony w swoją twarz obrysowaną konturem pary: „Do kogo należy ta zimna gwiazda, co spogląda na nas spoza płataniny pozorów i naszych powszednich pomyłek?”. Dopiero teraz zrozumiał znaczenie zagadki.

Fragment muru

Mieć nadzieję to nie oczekiwać odpowiedzi,
lecz wychodzić naprzeciw oczekiwaniom,
które nie należą do nikogo. I tak jak ten dzień,
z jego światłem i atmosferą, swobodną
jak kamień dryfujący środkiem rzeki,
zostajesz tu sam, zdany na łaskę pogody.

Jesteś wszystkim, co mamy dziś o tobie
do powiedzenia: tłem dla odjeżdżającego
samochodu, widokiem na ciemny skwer
w nieprzychylniej części miasta lub tamtą
pięścią przelatującą przez kadr komiksu
porzuconego w opustoszałej poczekalni.

Twoją obecność zawsze ubezpiecza
wysokie światło, choć za jakiś czas
pojawią się tu nowe budynki,
więc zmienią się perspektywy,
w jakich postrzegaliśmy cię
w kontekście niebieskiego parkanu
oraz paru dorodnych chwastów,
tej całej obfitej ciemności,
która zasila twój cień po zmroku.

Coś w ciemności

W głębi domu trzasnęły drzwi i cień na parkingu
wydłużył się i zabrał okolicę jak fala,
która ukradkiem pochłania plażę w czasie przyływu.
W naturę tej relacji od zawsze wpisane było

nieporozumienie. Dlatego to, z czym obecnie
przychodzimy do siebie, nie wyjaśniając niczego,
oczekując więcej, niż można by wywnioskować
z hotelowych okien, za którymi widok skręca

w stronę parku i świateł ściągających na siebie
chłodną uwagę wieczoru, to już zupełnie inna sprawa.
Również publiczne pomysły to krach.
Minął nas samochód pokryty eksplodującymi kwiatami.

Spójrzmy też na pojazd księżniczki. Mnóstwo dzieci
paraduje konno w wymyślnych strojach. To dość
dziwne, zważywszy na porę roku. Pingwiny?
Przed gumowym zamkiem zebrał się

tłum gapiów. Uroczę dzieciaki. Puszka zupy
wbiegła na ulicę i właśnie wpadła pod wózek
pełen beczek z piwem. Publiczność wymienia
uściski dłoni z wołowiną w kontekście porzuconego koncertu.

I wkrótce ten obraz urasta do rangi muzyki, wije się i ucieka
przed wzrokiem utkwionym w czyichś włosach.
Następnie piorunujące światło rzuca nas z powrotem
między odległe fakty przyrody. Ktoś trzyma w rękę

pieczoną małą, przysmak kolorowych mieszkańców
Montanii. A teraz obywatele gromadzą się
w najważniejszych zakątkach miasta, bardzo
merytorycznie, i malują obrazy gremialnego

braku zrozumienia dla praw przysługujących –
no właśnie, komu? „Po prostu zabrakło mi słów,
wobec których lodowata pewność rzeczy
i tak byłaby górą, pozostając w tym ciemnym,

materialnym dole naszego uprzedzonego doń milczenia.
Całą scenerię napędzał ukryty wodospad
i z nieprzewidywalną energią ściągał moją uwagę
do zbiornika wymieszanych głosów – obraz

rozrzucony przed wzrokiem na podobieństwo
letniego dnia: budynki, ludzie i samochody,
zapowiedź liści na szarych chodnikach,
cień drzewa w nieprawdopodobnie wielkim mieście”.

Wieczorem półki uginają się od gwiazd
i społeczeństwo tkwi nadal gdzieś
na zewnątrz, definiowane przez mrok.

Halifax

W naturze tego gniewu nie było nic osobistego. Po prostu pustka odsyłająca donikąd, krzyk skierowany w ciemność wypełnioną groteskowymi rysunkami: płonąca głowa w lodówce, alegoria umysłu eksplodującego na skraju zamrożonej przepaści.

To my kilka lat wcześniej: tak nas postrzegano. Mężczyzna ścinający drzewo w środku nocy na jakimś zaśnieżonym odludziu, to również ty sprzed lat. Fotografia, którą wysłałeś w nieprzygotowaną na to przyszłość, obraz, który zniszczył wszystko, choć wciąż nie jest tego najlepszym przykładem, ponieważ nie istnieją dobre przykłady, tak jak nie istnieje wystarczający przekład wspomnienia czyjś *ja*, którym jest jego własny obraz pozbawiony dawnej, naturalnej natarczywości klimatu, w którym owo *ja* wzrastało przeciw wszelkim dotychczasowym przeciwnościom losu, zmieniając je w przyjaźń i troskę, a także w nieśmiałą formę miłości, z jaką winorośl oplata swój cień, a ptak powraca do swojego gniazda, przebiwszy się przez początkowy ból i ciemność czasu, w którym zainstalowano chmurę posyłającą nam gniew i nieporozumienia, doszczętnie rujnujące koloryt minionych miesięcy.

Pewnego dnia stajesz przed domem i myślisz, że wydarzyło się zbyt wiele jest nie do zniesienia: „Całe nasze ziemskie zatrudnienie sprowadza się do typowo ludzkiej pracy, zależnej od obcych i dziwnych kontrastów. Natura imituje jądro przyjemności niejako w opozycji do pamięci, zaostrzając różnicę między pamięcią jako taką a jej różnymi, niepokojącymi aspektami. Dlatego pośród spóźnionych, ostatnich owoców jesieni pamięć dodaje do tego klasycznie północny blask rzeki, ponowne zjednoczenie całego sezonu w znieruchomiałej obręczy czasu, który przekształca ją w czystą przyjemność, klimat, który przywodzi na myśl zielony, spadzisty teren”.

Umysł był wszystkim, co nam zostało, kiedy noce przybliżały się i oddalały niczym fale przyływu łaskoczące nieruchomy brzeg. Teraz oko porusza się wzdłuż linii łączącej umysł z wybrzeżem, ponad falami i rozsypanym kluczem chichoczących mew, dostrzegając jedynie przestrzeń oraz cienie drzew, takie płaskie na brązowych deskach pomostu, sięgającego gdzieś dalej, wbrew perspektywie wyruszającej na jego spotkanie.

Detrytus

*Ich los musi być zawsze taki sam jak twój,
Ponosić stratę, której się lękają, tak jest,
Trzymający się stale jednej pozycji, błędnej od lat.*

– W. H. AUDEN

Niepokój przedziera się przez godziny jak buldożer.
To był śmiech człowieka czy syreny rozbitej na głosy?
Istnieje symetria w tych latach

wykreślonych przez ból: „każda strona przedstawia
obraz tłumu w pustym pokoju”. Z czasem twoja wizja
nie przedostaje się dalej i pozostajesz na zewnątrz

jak duch medytujący w zepsutym samochodzie,
myśląc, że wszystko, co się porusza, jest jaśniejsze
od ciebie. Myśląc, marnując czas

przeznaczony na widzenie, myląc się bez końca,
groźny cień pośród noży uzupełniających noc,
oczekujesz na specjalny rodzaj porozumienia.

Tymczasem to, co nadchodzi, to jedynie natura,
która jest zawsze odmową, a wszystkie nierealne
dekoracje lat, dni, które zaczynają się od niczego,

ten arbitralny ruch, maska światła spadająca przez liście
na brzeg jeziora, pionowa ściana kwiatów krzycząca
na tyłach posiadłości, to jednak nadal zbyt mało.

Piosenka

Nie było żadnej przykrości w tym wyglądaniu wstecz,
tylko uśmiechy, truskawkowy oddech lata,
żółty samochód znikający za skrzyżowaniem
niczym wspomnienie domu, w którym kiedyś –
no właśnie.

W tej chwili
światło wędruje za budynki, przybierając odcień fali,
która zbiera postać rzeczy i umieszcza je w szeregu
dalszych wątpliwości. Słyszeliśmy takie piosenki
już wcześniej: to właśnie jedna z nich.

Nieznane przyjemności

Niebieskie lampiony syczą bezradnie
na tle świerkowego nieba.

Z dystansu wszelkie stare kwestie
wyglądają jak rozrzucone zabawki.

Ale naprawdę lubię ten nieład, sposób,
w jaki komunikujemy się

przy pomocy kilku złączonych patyków.
Później teoria znika w książce

i zasypiamy w swoich namiotach
za granatową draperią zmroku.

W ciemnościach szturmujących pralnię
wiatr wstrząsa mokrą gałęzią jabłoni.

Przeznaczenie

Dzieci wbiegają na murawę. Murawa trzeszczy,
a następnie pogodnie się uśmiecha
pod naporem momentalnej wrzawy.
Nowe prawo otacza ją teraz
kordonem zjednanej sympatii.

Nagle wróżka zrzuca na dzieci czar
z najwyższego piętra otoczonego chmurami
biurowca. Na szczęście czar jest niegroźny
i wielkie nadmuchiwane pianino
wyparowuje pod kołami gigantycznej cysterny,
która nadjeżdża całkiem znikąd,
więc dzieci mogą dalej spokojnie się bawić
w swoją grę zwaną przeznaczeniem.

Wieczorem w oknach wzdłuż ciemnej przecznicy
zapalają się światła. Pluszowy obrys księżycy
kołuje nad prowincją, gdy dzieci zmierzają do domu.
I nic nie szkodzi, że z biegiem czasu
coś mętnieje, miesza się i psuje,
a ze strażackiego wozu, znalezionego w pudełku,
odpada błyszcząca drabina.

„Czy na końcu drabiny ktoś stoi?”
pyta rezolutna dziewczynka,
sposrzedłszy niedomknięte drzwiczki
na skraju mroku obrastającego szczebelki.
Jednak tego lata już nic się nie zjawi
w mroku oddzielającym zabawkę
od pytania uczennicy, choć gdzieś jakaś gwiazda
wciąż rozwija swoją operową prędkość,
przedzierając się w stronę jej śmiałych oczu.

Przyjemny rodzaj zmęczenia

Ludzie znad jeziora powoli zaczęli się rozchodzić do domów, gdzie oczekiwali na nich okazały stos ulotek i magazynów zniesionych, gdy celebrowali coś innego, większego i jakby bardziej kosmatego, co nie zmieściło się w pudle wystawianym na zimę do garażu, lecz pozostało przy nich, w ich sypialniach, we wspomnieniu przejmującego zimna, które ciągnęło się za nimi niczym przenikliwe wycie przez całą drogę z powrotem.

Powrót do domu umożliwia im kontakt ze sobą, to znaczy z tą częścią, która tkwi nadal na zewnątrz, zanurzona w nocy zamierzeń i dążeń, podporządkowanych czemuś, co nie należy do nich samych, o czym zresztą przypadkiem wiedzą i wiedzą również, że wiedzieć o tym warto, a także to, że wiedza ta dotyczy tak naprawdę czegoś zupełnie innego, o czym zwykle nie mają najmniejszego pojęcia.

„Życie przypomina niebo nad odległą gazownią. Rozświetlone przez moment czymś niepojętym, na ogół jest niedostępne” – myślą niektórzy. Ale wiedzieć w ogóle, znaczy nie wiedzieć nic, co nie znajdowałoby się wcześniej w zasięgu wzroku, czyli wiedzieć tyle, że błysk poprzedza grzmot, a silny wiatr z łatwością porusza gałęziami i drutami telegraficznymi, szamocze otwarte parasole z nagłym świstem, podczas gdy niebo w tle zmienia swą barwę na ciemnoniebieską.

Dlatego chyba zostaną dziś w domu.

W odniesieniu do tonącego okrętu

Codziennie jeżdżę do portu, gdzie przesiaduję w cieniu latarni. Temperatury są teraz naprawdę nieznośne, dlatego od czasu do czasu rzucam się do wody i poluję na ośmiornice.

Próbowałem pisać książki o dziwkach i pijanych treserach zwierząt, lecz pewnego razu jakiś stuknięty Korsykanin podpalił mój dom i wszystkie notatki diabli wzięli.

Mimo to, świat jest nadal moją ostrogą, a język tańcem możliwości. Poza tym zawsze starałem się mówić prawdę. Głupio wyszło, że sądziliście inaczej.

Przede wszystkim zniszczenia

Rzadka zabudowa tego rodzaju. Niezagospodarowana,
brudna rzeka. Każdego dnia jakaś rzecz
ulega rozpadowi. Nie wiemy,
czym jest, ale już nigdy nie będzie sobą.
Gdybyśmy wiedzieli wcześniej, ale nigdy
nie wiadomo z pewnością. Jedynie pewne

jest to, co wiąże się z czasem i wszystkimi
wydatkami, swobodą podejmowania decyzji
w jakimś przyjemnie oświetlonym miejscu.
Poza tym zawsze można żyć bardziej
niebezpiecznie, na krawędzi łóżka,
u kresu fiskalnych lat, żyjąc jakby to był

ten właściwy raz. Nie chciałem tego tak ujmować.
A jednak zostałem zmuszony, to znaczy
wydawało się rozsądne mówić o tym,
resztę zaś trzymać za zębami. Przynajmniej na początku,
kiedy wszyscy zajęli wyznaczone miejsca.
W każdej chwili mogli je zmienić, a jednak

nie mieli świadomości wyboru. I tak minęła
pierwsza połowa. Trwaliśmy bez przerwy
na brzegu mikrej wyspy, sądząc,
że to wszystko, co należy do nas. Myliliśmy się.
„My również”, powiedział i odsłonił kurtynę,
skrywającą skołowany krajobraz: „Proszę tędy”.

I nastąpiły kolejne pola pełne złożonych świateł, ómy
sączyły się przez zmierzch, zaalarmowane wrzaskiem,
drewniane chaty dymiły w błękitnych ciemnościach.

A potem zobaczyliśmy jeszcze film o rzadkich okazach
miejskiej zieleni. Ktoś palił swoje ubrania w parku
i uderzyła nas bezbrzeżna głupota dziennego blasku,
pewna i oczywista, rzeczowa jak podatki.

Lub śmierć, ten odurzający brak logiki
w rozmowie, nerwowy bieg na przekór śnieżycy
ciśniętej w okna zakurzonego hotelu.
Więc pewnie tu jeszcze pokrążymy przez chwilę,
choć na razie plan jest stanowczo niekompletny
i nadal nie wiadomo, co zrobić z resztą tego dnia,
zerwanego jak fragment tkaniny z płonącego krosna.

Detale rozmiarów życia

Rzeczy takie jak propaganda sukcesu
nieustannie doprowadzały nas do rozpaczki.
No, ale w końcu musieliśmy pozbyć się
wszystkich oporów i wyjść z przystani.
Mgła wypełniła zatokę jak mokra wata,
samochody ruszyły przed siebie, naruszając
strukturę sierpniowej ciemności.

Piękna pogoda, ironizowaliśmy,
jak ludzie wybiegający poza światło,
którzy zawsze chcą czegoś innego,
lecz nigdy nie wiedzą czego. Czegoś,
co nazwą zmianą. Ale najtrudniej jest zacząć
od tego, co jest początkiem. Niektóre spektakularne początki
przekonały nas do siebie od razu, inne
prędko popadły w niełaskę,
niosąc lekcje, których nie mieliśmy zamiaru odrabiać,
ponieważ nigdy nie chcieliśmy kończyć szkoły,
w przeciwieństwie do innych,
nigdy w niej nawet nie byliśmy.

Taka była nasza wczesna młodość:
pogodny przedświec nocny, kawałek
uszyty z mroczniejszych dźwięków,
kiedy przez niebo wspinał się rumor bliźniaczych silników.
Dojrzewaliśmy w klimacie
moralnego nieprawdopodobieństwa.
Wieczory i noce spędzone poza domem
w końcu doliczono nam do rachunku,
jednak minęło wiele lat, zanim pojęliśmy sens
wszystkich wczesnych przestróg: „To jakiś żart”.

Ale nikt się nie śmieje. Ponieważ
to właśnie życie, ten generalny ruch
wewnątrz własnych założeń.
Konsekwencja towarzyszy pewnej rezygnacji
jak wrześnie światło zsuwające się
w uporządkowaną przestrzeń parku.
Nikt tego lepiej nie zrozumie. Jednak łatwość,
z jaką inni wyjaśniają nasze sny,
to coś w rodzaju spaceru w mieście,
do którego przyjeżdża się załatwić własne interesy.

Tymczasem pod wieczór, kiedy już wiemy,
czym chcielibyśmy się zajmować,
jest już najczęściej za późno
i pora kłaść się do snu. Takie życie,
z pobudkami i codzienną krzątaniną,
potrafi naprawdę zapędzić człowieka
w niewłaściwe miejsce: „Minął rok
od czasu, kiedy ostatni raz pisałem
do wodza Tańczącej Czaszki”, powiedział mężczyzna,
ścigający ambulans firmy Lonzo&Lonzo: „Zgubiłem się
i szczerze przyznam, nie wiem, co dalej.”

Czas jest raną, która nie goi się nigdy.

DISASTRAPUBLISHING.COM

VIMEO.COM/DISAstra

SOUNDCLOUD.COM/DISASTRAPUBLISHING